Nr. 5. Kraków, 15 Lipca 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

Kraków, 14 lipca.

Powszechnie znaną jest naukowa i literacka gościnność naszego miasta; to też zapowiedziany zjazd zgromadził tu liczny zastęp lekarzy i przyrodników, którzy przybyli ze wszystkich dzielnic Polski, a po części także i z krajów obcych, aby spędzić razem kilka dni w murach Krakowa i w jego okolicy na rozprawach i rozrywkach naukowych, na wymianie myśli, zasobów erudycyi, naukowych dążności i wyników własnej pracy umysłowej, — a zarazem odświeżyć swe uczucia patryotyczne drogiemi dla nas wspomnieniami dziejowemi i zaczerpnąć z nich nowej siły i otuchy do dalszej pracy, przeważnie w tak trudnych warunkach, na pożytek kraju i Ojczyzny.

Kraków zawsze chętnie wita i gościnnie podejmuje czy to jednostki, czy zbiorowe ciała przedstawicieli nauki, sztuki, literatury, i zjazdy krakowskie pozostawiają zawsze żywe a miłe wspomnienia, niekiedy z istotnym pożytkiem połączone, w umysłach naszych rodaków, przybywających z sąsiednich dzielnic, ze stron ucisku i prześladowania. Tu mogą oni odetchnąć atmosferą wolności, tu mogą mówić o swej pracy w imię haseł narodowych. Zjazdy historyczne, literackie i pedagogiczne udają się zawsze świetnie.

O ileż chętniej i radośniej witać winniśmy zjazd lekarzy i przyrodników, jako przedstawicieli nauki ścisłej, którzy stają się popularyzatorami i roznosicielami prądów wiedzy nowożytnej i zdobyczy przyrodoznawstwa, które — niestety — tak małą dotychczas odgrywało rolę w umysłowem życiu Galicyi.

Wszechstronny rozwój przyrodoznawstwa i zastosowanie tegoż w praktyce cechuje właśnie wszystkie drogi nowożytnego postępu europejskiego. Galicya nic o tem dotąd wiedzieć nie chciała.

Szczęśliwsze i bogatsze od nas ludy zachodniej Europy przebyły w ostatnich kilku dziesiątkach lat, pod wpływem Haeckelów, Huxley'ów, Virchowów, Helmholtzów i tylu innych pracowników — prawdziwą rewolucyą umysłową. Wyniki badań przyrodniczych rozpowszechniły się szybko i wycisnęły swe piętno na całokształcie nowożytnej wiedzy, na charakterze życia umysłowego, a zarazem wywarły potężny wpływ na rozwój techniki, przemysłu i stosunków ekonomicznych. Ścisłe metody badania, wyrobione i wypróbowane w przyrodoznawstwie, ogarnęły umysł ludzki, i wszystkie gałęzie wiedzy, takie nawet, jak historya, filozofia, socyologia, językoznawstwo, nauka prawa — doznały świeżego a potężnego impulsu pod wpływem przyrodniczego sposobu badania, pogłębiły swe metody, swój program i swe cele.

Po bankructwie filozofii idealistycznej umysł ludzki znalazł nowy punkt oparcia w przyrodniczym na świat poglądzie. Określono stanowisko człowieka w przyrodzie. i zapanowały nowe poglądy na wartość życia i na zadania pracy ludzkiej. Pokolenia, wychowane pod wpływem przyrodoznawstwa, znalazły trwałą podstawę do prędszego rozwoju, — jęły się one, wedle rodzaju i zasobu sił, pracy produkcyjnej w różnych kierunkach, schodząc do podstaw bytu materyalnego i umysłowego.

Galicya pozostała na uboczu tego olbrzymiego umysłowego ruchu i naturalnie odbiło się to niekorzystnie na całem życiu galicyjskiem. Pod tym względem Galicya stoi znacznie niżej od Królestwa Polskiego i od W. Księstwa Poznańskiego. Bo chociaż mieliśmy w nowszym czasie, mianowicie na uniwersytecie krakowskim, wybitne siły przyrodnicze, takich np. uczonych, jak Mikulicz i niewygasłej pamięci Wróblewski, którzy istotnie stali na wysokości nowożytnej wiedzy, mamy ich nawet wielu i dzisiaj, ale są to tylko pojedyncze osobistości — ruch przyrodniczy w szerszem słowa tego znaczeniu obcym był dotąd dla Galicyi. Galicya nie wiele skorzystała z olbrzymiego rozwoju nowożytnej wiedzy i nie wyzyskała należycie na swoją korzyść zdobyczy przyrodoznawstwa i techniki.

Odmienne stosunki życiowe i warunki naszej egzystencyi w trzech dzielnicach Polski nadały rozmaity kierunek pracy tu i tam. Kongresówka np. była w bliższej styczności i rozwijała się w ściślejszym związku z ruchem europejskim. Prasa propagowała tam gorliwie prądy naukowe, a cały zastęp lekarzy, przyrodników i techników, wykształconych w nowożytnej szkole, uzupełniał dzieło zespolenia polskiego społeczeństwa z powszechnym ruchem umysłowym. Widzimy też w Królestwie polskiem szybki rozwój nauki i przemysłu. — Galicya pozostała w tyle za Kongresówką pod względem naukowym i ekonomicznym; tu praca

narodowa skupiła się przeważnie tylko w życiu politycznem; pracowano wytrwale i z ufnością nad wyrobieniem i rozszerzeniem samorządu krajowego. Ale dwadzieścia kilka lat ery autonomicznej nie przyniosły wielu pożądanych owoców, dla tego że Galicya zbyt jednostronnie pojęła zadanie pracy społecznej.

Pracę tę dzisiaj uzupełnić należy. Trzeba podnieść umysłowe życie w Galicyi do współczesnego poziomu, dostroić pojęcia do potrzeb i wymagań czasu.

Wykształcenie na naszych uniwersytetach, zarówno jak i w szkołach średnich i cały w ogóle charakter umysłowego życia w Galicyi był dotychczas przeważnie humanistyczny, opierał się na podstawach historyczno-filologicznych. Przyrodoznawstwo było stosunkowo zapoznawanem.

W takich warunkach wszystko, co ma związek z przyrodoznawstwem, co budzi interes do tej gałęzi wiedzy, na szczególniejsze w Galicyi zasługuje poparcie. Z tego stanowiska wychodząc, z radością witamy zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie, bo zjazdy tego rodzaju są najlepszym środkiem ożywienia badań przyrodniczych i uprzystępniają dla ogółu zdobycze nauki. Pojmują to dobrze organizatorowie zjazdu i dokładają wszelkich starań, aby nadać mu znaczenie i skuteczność.

Naukową pracę zjazdu powierzono w doświadczone ręce wybitnych sił Jagiellońskiego uniwersytetu; to też podział na sekcye i wybór referatów wypadł nader pomyślnie i cały w ogóle zjazd zapowiada się bardzo poważnie. Wdzięczność za to winniśmy kierownikom zjazdu: Jego Ekscelencyi Majerowi i profesorom: Rydygierowi, Korczyńskiemu, Cybulskiemu, Rostafińskiemu, Blumenstokowi, oraz wszystkim kierownikom sekcyj.

Postarali się oni o to, aby zainteresować przedmiotem jak najszersze koła i poruszyć w rozprawach zjazdu najdonioślejsze kwestye nauki. Między innemi sekcya antropologiczna, pod przewodnictwem zasłużonego Dr. Majera, ma zamiar systematycznie rozejrzeć się w dotychczasowych pracach na polu umiejętności antropologicznych, a praca ta zmierza ku celom praktycznym, gdyż rownocześnie ma być podjęta myśl zawiązania w Galicyi towarzystwa etnograficznego i założenia odpowiedniego muzeum.

Żałujemy, że pomiędzy sekcyami lekarskiemi nie będzie osobnej sekcyi dla psychiatryi i neuropatologii, która dzisiaj tak wybitne zajmuje stanowisko w nauce lekarskiej. Brak ten odpowiada brakowi odpowiedniej katedry na uniwersytecie Jagiellońskim, lecz z przyjemnością dowiadujemy się, że w kołach uniwersyteckich podejmują się właśnie zabiegi celem uzupełnienia w tym kierunku fakultetu medycznego.

Natomiast z całem uznaniem zaznaczamy, że w liczbie sekcyj przyrodniczych znajduje się także sekcya psychologiczna pod przewodnictwem prof. Cybulskiego. Samo już zaliczenie psychologii do nauk przyrodniczych oznacza poważne, nowoczesne traktowanie tego przedmiotu, bo psychologia o tyle stała się dzisiaj umiejętnością w prawdziwem słowa znaczeniu, o ile z dziedziny metafizyki wstępuje na grunt przyrodoznawstwa.

Takie traktowanie przedmiotu najwybitniej charakteryzuje dążność kierowników naszego uniwersytetu do ożywienia pracy naukowej i usiłowaniom tym ze wszech miar przyklasnąć należy. Witamy także przy tej sposobności zamiar, częścią już wykonany, — powołania do uniwersyteckiej pracy w Galicyi sił nowych, młodych a wytrawnych, takich jak Mahrburg, Natanson, Nussbaum i Massonius.

Na szczególniejsze uznanie zasługuje urządzenie obok zjazdu wystawy przyrodniczo-lekarskiej pod przewodnictwem Dr. Śliwińskiego. Wystawa taka jest bardzo pożyteczna, bo w sposób poglądowy zestawia postępy nauk przyrodniczych i lekarskich. Bardzo szczęśliwa była myśl zaproszenia do komitetu wykonawczego wystawy uczniów fakultetu lekarskiego i filozoficznego z lat wyższych, co da im sposobność zapoznać się dokładnie z organizacyą tego naukowego przedsięwzięcia. O wystawie i o sekcyi psychologicznej znajdzie czytelnik na innem miejscu naszego pisma osobne artykuły.

Witamy raz jeszcze wszystkich naszych szanownych gości, wszystkich lekarzy i przyrodników, którzy biorą udział w zjeździe i obecnością swą zaznaczają potrzebę wspólnej, jednolitej i solidarnej pracy, ożywionej wspólnemi dążeniami i według świadomie opracowanego planu. Życząc Im powodzenia w ich pracy zawodowej, wołamy do wszystkich z głębi serca i przekonania: Szczęść Boże! — na pożytek ludzkości, wiedzy i naszego biednego społeczeństwa!

SEKCYA PSYCHOLOGICZNA
przy VI zjeździe przyrodników i lekarzy polskich.

Iluzyą byłoby wyobrażać sobie, że nauka, a zwłaszcza filozofia w Polsce postępuje i rozwija się normalnie, że w jakiejkolwiek dziedzinie, oprócz historyografii, mamy coś więcej, oprócz zarodków, z których się przy pomyślnych okolicznościach jakiś organizm naukowy wykluć może, ale znowu zapoznawałby rzeczywisty stan rzeczy i grzeszył nieuzasadnionym pesymizmem, ktoby twierdził, że nie postępujemy na tem polu wcale naprzód. Owszem, drapiemy się do góry pomału, nieenergicznie, najczęściej nieumiejętnie i nie z tej strony, z której twierdza naukowa jest przystępną, ale się przecie drapiemy, i postęp, chociaż bardzo niewielki, jest widocznym. Pozostając tylko w sferze nauk filozoficznych, które, mówiąc nawiasem, bardziej niż jakiekolwiek inne idą u nas oporem, widzimy wszakże nie dającą się zaprzeczyć różnicę pomiędzy dziś i wczoraj. Lat temu dwadzieścia, piętnaście, a nawet dziesięć — filozofować po polsku, znaczyło, popularyzować najczęściej źle zrozumianą teoryę Darwina i powtarzać na różne sposoby aforyzm Moleshotta, że myśl jest wydzieliną mózgu, tak samo jak żółć — wydzieliną wątroby — rzecz charakterystyczna, że zwróciliśmy się do materyalizmu akurat w tym czasie, w którym nauka europejska złożyła go do archiwum. Nasze filozofowanie nie miało wcale charakteru teoretycznego, tylko społeczno-tendencyjny, a cała jego „naukowość“ polegała na tem, że za główniejsze przesłanki używano najczęściej nie sprawdzonych, często i

nie zrozumianych dokładnie twierdzeń naukowych. Proszę łaskawego czytelnika, aby mię nie chciał rozumieć fałszywie: Nie chcę przez to, co mówię, bynajmniej rzucać kamieniem na minioną już *Sturm- und Drangperiode* naszej literatury, na okres, który przyniósł naszemu społeczeństwu niewątpliwe i niedające się przeoczyć korzyści; nie zaprzeczam wcale istotnej i dodatniej wartości wyników ogólnych tego, co się robiło w okresie, będącym przedmiotem znanej książki p. Chmielowskiego: „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu“ (1865—81). Chodzi mi tylko o przedmiotową i z natury rzeczy obcą wszelkiej partyjności ocenę tego, co się w owym czasie robiło w nauce i dla nauki — mam tu na myśli nie takie dyscypliny półpraktyczne, jak medycyna lub prawo, ale nauki teoretyczne i przeważnie filozofię.

Otóż trudno nie widzieć, żeśmy w owym, tak jeszcze bliskim nas czasie nie pracowali wcale nad nauką samą, tylko *à propos* różnych spraw społecznych mówiliśmy, z większem lub mniejszem zrozumieniem, o nauce, używając niektórych jej twierdzeń i hypotez za przesłanki do wniosków natury całkowicie nienaukowej. Nasza „nauka“ była w wysokim stopniu tendencyjną i nieteoretyczną; poprostu, przyznawanie się lub nieprzyznawanie do pewnych teoryj naukowych stanowiło o tem, do jakiego obozu kto należał. Ztąd ta charakterystyczna i komiczna okoliczność, że u nas liberalizm polityczny i ekonomiczny musiał koniecznie łączyć się z darwinizmem i bezwyznaniowością, które to trzy rzeczy oczywiście nie mają z sobą nic a nic wspólnego. Wszystko razem zwało się „postępowością“ lub „pozytywizmem“, który to wyraz oznacza po polsku wcale co innego niż znany kierunek filozoficzny.

Dziś jest już inaczej — i lepiej. I dziś wprawdzie nie bierzemy udziału w ogólno-europejskiem życiu naukowem, nie przyczyniamy się do postępu nauki, ale w ostatnim dziesiątku lat możemy się wykazać pewną ilością prac teoretycznych, studyów, poświęconych nie propagandzie społecznej ze stanowiska pewnych twierdzeń naukowych, ale zbadaniu i wyświetleniu kwestyj teoretycznych. Inną sprawą jest kwestya doniosłości i wartości pozytywnej tych prac. Istotnie wartościowych znajdzie się — w zakresie nauk filozoficznych — może nie więcej jak dwie lub trzy. Ale, powtarzamy, to inna sprawa. Chodzi o to, że ten ruch, jaki się dziś daje spostrzedz, jakkolwiek słaby i nieznaczny, jest jednak rzeczywiście naukowym, że potrzeby naukowe społeczeństwa polskiego wzmagają się i że się pojawiają nowe.

Jednym z objawów tych wzmagających się potrzeb jest utworzenie przy mającym jutro rozpocząć swoje obrady VI zjeździe przyrodników i lekarzy sekcyi psychologicznej. Filozofowie polscy — bo pod egidą psychologii staną do apelu szczupłe kadry przyszłej naszej armii filozoficznej — porozumieją się z sobą i przyjmą udział w naradach przyrodników. Powinno to przynieść niewątpliwy pożytek tak filozofii jak i naukom przyrodniczym. Jedną z cech znamiennych nauki dzisiejszej jest, że równocześnie z coraz dalej idącą specyalizacyą postępuje i wzmagająca się również i okazująca się nieodbicie potrzebną generalizacya. Ogrom ciągle jeszcze narastającego materyału wymaga specyalizacyi; ale równolegle do niej coraz wyraźniejszą staje się potrzeba systematycznego uporządkowania tego materyału, potrzeba możliwości orjentowania się w tym nawale faktów i szczegółów. Przyrodnik, o ile chce być czemś więcej niż prostym regestratorem spostrzeżonych faktów i technikiem laboratoryjnym, musi koniecznie pozyskać jakieś ogólne punkty widzenia, bez których zresztą nie można się obejść nigdy i w żadnej nauce. Ale nauki przyrodnicze, skutkiem swego znacznie większego od t. zw. humaniorów rozwoju, stają się coraz to bardziej filozoficznemi i potrzebują filozofii coraz nieodbiciej. Najwyraźniej to widać na fizyce i chemii, najdalej posuniętych naukach przyrodniczych; mają one ciągle do czynienia z pojęciami ogólnemi, takiemi jak materya, siła, energia, ruch i t. p., pojęciami, nad któremi niepodobna operować z nadzieją na pozytywne rezultaty naukowe, nie zdawszy sobie sprawy krytycznej z ich treści i wartości naukowej. Taka zaś krytyka pojęć ogólnych i naczelnych nazywa się właśnie filozofią, bo dzisiejsza filozofia naukowa stanowczo i bezpowrotnie zrzekła się pretensyi do tworzenia systemów, rozwiązujących zagadki bytów transscendentnych, i za zadanie swoje uważa krytykę pojęć naczelnych, wspólnych naukom poszczególnym, zestawienie ich z sobą, oczyszczenie od ewentualnych sprzeczności i utworzenie z nich całości systematycznej, mogącej służyć za kanon i organ regulujący tych nauk. Zadanie takie nietylko nie jest mniejszem, ale przeciwnie, większem i piękniejszem od celów, które stawiła sobie dawniejsza architektonika systemów i poezya pojęć, a każdy krok, na tej drodze postawiony, mozolniejszym, ale i płodniejszym bez porównania w pozytywnie pożyteczne następstwa od najdalszych i najśmielszych skoków myśli, bujającej samowolnie po szerokich przestworach niesprawdzonych i częstokroć niesprawdzalnych pojęć, albo i po prostu wyrazów, co do których operujący nad niemi filozofowie łudzili się, że są pojęciami.

Dzisiejsza filozofia naukowa znajduje się z naukami poszczególnemi, zwłaszcza przyrodniczemi, w stosunku ciągłej wzajemności. One wyznaczają jej zakres, ona daje im punkty orjentacyjne i dyrektywy. One wyznaczają jej zakres, ponieważ filozofia krytykuje w celach pozytywnych tylko pojęcia naukowe, tylko takie, które są w nauce potrzebne i do niej organicznie należą. Krytyka pojęć nienaukowych ma tylko cel negatywny — wyrzucenie ich za nawias. Ona daje im punkty orjentacyjne i dyrektywy, ponieważ spreparowane przez filozofię pojęcia wyznaczają naukom poszczególnym punkty wyjścia i cele, a zatem wykreślają ich drogę. Jeszcze przed laty dwudziestu kilku badacz przyrody mógł obejść się jako tako i połatać co największe dziury, przyjmując za zasadę normującą doktrynę materyalistyczną, tę, podług trafnego wyrażenia F. A. Langego, „najpożyteczniejszą maksymę detalicznego badania przyrody“; ale materyalizm upadł — okazał się systemem metafizycznym, równie mało uzasadnionym, jak spirytualizm, idealizm berkeley'owski, idealizm heglowski, panteizm, filozofia identyczności *et tutti quanti*, odznaczajacym się od nich tylko większym stopniem bezkrytycznej naiwności. Materyalizm upadł — i dziś nikt już nie może się powoływać na jego dogmaty. Dziś każde z potrzebnych w nauce pojęć ogólnych musi być roztrząsanem i sprawdzanem z osobna; dziś nie ma żadnej doktryny ryczałtowej, któraby dając przyrodnikowi gotowe, spreparowane już filozoficznie, czy pseudo-filozoficznie pojęcia, mogła się dla niego stać surogatem samodzielnej pracy myśli krytycznej; każde pojęcie trzeba brać z osobna, każde z osobna rozważać, krytykować, zestawiać i porównywać z innemi. Dziś przyrodnik musi być filozofem. Jakoż byli nimi ci wszyscy, którym dzisiejsza wiedza przyrody zawdzięcza swoją wielkość, byli nimi — że pozostajemy tylko w granicach bieżącego stulecia — Dalton, Ampère, Cauchy, Meyer von Heilbronn, Thompson, Liebig, Helmholtz, Bichât, Claude Bernard, Darwin, Du-Bois-Reymond.

Nawzajem, filozof musi być uczonym. Może nie być specyalistą w żadnej gałęzi, (chociaż lepiej, jeżeli jest), ale jakąś naukę musi znać dobrze, a kilka innych o tyle, aby się potrafił w ich literaturze bez trudności orjentować; musi być *au courant* ostatnich przynajmniej wyników ważniejszych badań przyrodniczych; musi rozumieć metodologię nauk poszczególnych, musi znać ich cele i środki; może nie posiadać techniki laboratoryjnej, (chociaż mu ona wcale nie zawadzi), nie być eksperymentatorem, ale musi rozumieć, co to jest eksperyment naukowy, musi go umieć odróżnić od macania na oślep, musi znać warunki jego wiarogodności i pojmować jego wartość naukową. Jeżeli bowiem specyalista bez filozofii nie może się na swojem polu orjentować, to znowu filozof

bez nauk specyalnych nie ma pola, na którem by się miał orjentować. Przedmiotem dzisiejszej filozofii nie jest świat, ale nauka o świecie, zszedłszy więc z gruntu ścisłej nauki, filozof poprostu pozostaje zawieszonym w próżni.

Jutro filozofowie polscy spotkają się z przyrodnikami, porozumieją się między sobą, zakomunikują sobie wzajemnie owoce swych poszukiwań, spostrzeżeń i refleksyj. Możeśmy się za długo rozpisali — *à propos* sekcyi psychologicznej tylko, nie filozoficznej — o wzajemnym stosunku nauk specyalnych i filozofii. Ale, jakkolwiek psychologia wyodrębniła się dziś z filozofii i stała się nauką przyrodniczą, z natury swojej wszakże stoi bliżej, niż każda inna nauka, do filozofii; uprawiają ją i prawdopodobnie zawsze będą uprawiali niemal wyłącznie fachowi filozofowie. Szczupłą garstkę psychologów, którzy z różnych stron naszego kraju ściągają na zjazd niniejszy, uważamy za straż przednią zbliżającej się filozofii polskiej. Niechże przyjdzie, i ręka w rękę z naukami przyrodniczemi niech się zabierze do pracy nad budową gmachu nauki polskiej. Przyjście jej jest koniecznie potrzebnem, bo, jak filozofii bez nauki, tak nie ma dziś i być nie może nauki bez filozofii.

Maryan Massonius.

WYSTAWA PRZYRODNICZO-LEKARSKA W KRAKOWIE.

Wystawy przyrodniczo-lekarskie, to wynalazek polski. Pierwszą z nich w roku 1869 obmyślił i wykonał Dr. Adryan Baraniecki, dyrektor muzeum techniczno-przemysłowego, podczas pierwszego zjazdu polskich lekarzy i przyrodników w Krakowie, wbrew opozycyi zwykłej u nas, gdy kto z czemś nowem występuje. Od nas dostały się na zachód do naszych cywilizatorów, którzy co dziwne dotąd jeszcze, jak to w ich zwyczaju nie usiłowali nam wydrzeć własności ich pierwszeństwa. Druga wystawa także sama, również przez Baranieckiego urządzona odbyła się w Krakowie roku 1881 podczas III zjazdu lekarzy i przyrodników, trzecia była we Lwowie r. 1886 z trochę niby programem zmienionym i ułożeniem innem, bo się nazywała hygieniczno-lekarską i dydaktyczno-przyrodniczą, czwarta zaraz w rok potem w Warszawie, nazywała się krótko hygieniczną, a obecna piąta z rzędu dla tradycyi, w Krakowie przez Dra Śliwińskiego urządzona. W przeciągu więc dwudziestu dwóch lat, pięć wystaw. Zdaje się, że to wystarcza, dla stwierdzenia ich potrzeby, a czy jakość w tym samym stopniu się przedstawia, to może w części pouczyć statystyka, a w zupełności mogłoby wykazać zestawienie postępu w poszczególnych działach czy grupach. Rzecz byłaby żmudna i dla czytelnika nudna, żebyśmy zestawiać mieli cyfrowo ilość wystawców lub przedmioty wystawione ze wszystkich tych pięciu wystaw dla porównania, może więc wystarczy celem stwierdzenia rozwoju już samo zestawienie miejsca, jakie było potrzebne na pomieszczenie tych wystaw. Kiedy pierwsza wystawa w jednej ze sal Muzeum techniczno-przemysłowego się mieściła, druga zajęła wielką salę Sukiennic, obok salkę małą i Langierówkę, trzecia we Lwowie, cały prawie budynek szkoły realnej na pomieszczenie zabrała; w Warszawie pod hygieniczną ogród urządzono cały i budynki stawiano, obecna zaś zaledwie w całym gmachu gimnazym św. Anny, bo i na podworcu a nawet na gankach się rozsiadła. A przecież byli pesymiści i to nawet w łonie grona ludzi dobrej woli. Zaraz z początku gdy o wystawie mówiono, podniosły się głosy wręcz jej przeciwne, motywujące swój sprzeciw twierdzeniem, że u nas w tych kilku latach od wystawy do wystawy nie postąpiliśmy o tyle, aby było co wystawiać. I tak rzeczy stały aż do końca marca b. r. do chwili, gdy Wydział gospodarczy zjazd urządzający wzmocnił się przez przybranie do swego grona Dra Śliwińskiego. Ten, przy silnem poparciu prof. Gluzińskiego, widząc, że wystawa wynalazków polskich przez sekcyą fizyczno-matematyczną proponowana byłaby czemś tak małem, żeby niepotrafiła szerszych kół zainteresować, uczynił stanowczy wniosek urządzenia wystawy przemysłowo-lekarskiej i wszystkich tych przedmiotów, które z naukami przyrodniczemi związek mają. Postanowiono spróbować, czy rzecz może mieć powodzenie i ogłoszono wieść o wystawie takiej w dziennikach. Próba udała się dobrze, bo zaraz zaczęli się zgłaszać wystawcy z przemysłu odpowiedniego, a wtedy Wydział gospodarczy postanowił wystawę taką urządzić, do przeprowadzenia jej zarazem ustanowił dyrektora w osobie wnioskodawcy. Z początku szło oporem. U nas potrzeba firmy wyrobionej, potrzeba, aby na czele stał koniecznie człowiek z tytułem jakimkolwiek!, choćby to był niefachowiec, byleby olśniewał. Tym razem stało się to jakoś nie tak jak zawsze, tak jak nigdy. Pracując energicznie, zachęcając, ciągnąc formalnie do wystawy potrafił Dr. Śliwiński pozyskać na początek kilku wystawców renomowanych a nareszcie udało mu się nakłonić prof. Teichmanna do przysłania na wystawę czegokolwiek ze swoich zbiorów. Gdy po dziennikach rozeszła się wieść, że ten, który nigdy na krajowych wystawach nie figurował, ale za to po wszystkich centrach wielkiej cywilizacyi Europy i Ameryki zbierał laury, dyplomy i medale wystawą w Krakowie się nietylko interesuje ale cenne i to bardzo cenne rzeczy wystawić zamierza, gdy z głębi Rosyi, Finlandyi i Niemiec poczęły przychodzić zapytania o sposób, jakim prof. Teichmann, to co wystawić zamierza konserwował, wtedy dla wystawy inny wiatr zawiał. Zaczęli się zgłaszać wystawcy masami, co kto miał godnego, gdy mu się tylko zdawało, że wartoby w takiem towarzystwie figurować, słał na wystawę, do tego stopnia, że potrzeba było brać na bardzo gęsty przetak owe zgłoszenia, aby rzeczy zbytnią pobłażliwością nie skompromitować. W ten sposób z wystawy, która jak w pierwszej chwili się zanosiło, miała się w jednym pokoju pomieścić, zrobiła się wystawa olbrzymia, bezwarunkowo z wystaw przyrodniczo-lekarskich dotychczasowych w Polsce urządzanych największa, która w jedenastu salach szkolnych gimnazyum św. Anny zaledwie pomieścić się może, tak że część przedmiotów na podworcu i gankach gimnazyalnych rozmieścić trzeba było. Pesymiści ustąpili a miejsce obaw przed nieudaniem się wystawy zajął podziw nad tylu najpiękniejszymi okazami przedmiotów z naukami przyrodniczemi i lekarskiemi związek mającymi.

Ale wejdźmy do środka gmachu. Już przed bramą wchodową widniejący napis oznajmia co wewnątrz znajdziemy. Dziedziniec z piękną balustradą i filarami zielenią w wieńce ustrojony, na nim wyroby fabryk obu Zieleniewskich i trzeciego z betonami. Na prawo prowadzi droga w korytarz, a z niego wchodzimy do pierwszej sali przeznaczonej dla zdrojowisk krajowych, które w ilości 10 wystąpiły uzbrojone w cały swój przepych i ten przemysł jaki z darów ziemi surowych, rękami i głową swoich kierowników i właścicieli wydają. Iwonicz, Krynica, Szczawnica, Morszyn, Rymanów, Wysowa, Lubień, przedstawiają swoje wody, muły, iły, przetwory soli swoich, widoki, plany łazienek, spacerów i t. p., a wszystko to odświętne, zielenią przybrane we wzorowym porządku i dobrze zestawione. W sali obok zajęły miejsce zoologia, botanika, mineralogia, anatomia, weterynarya i drobne inne rzeczy, które się do nich nadawały. W sali trzeciej na stołach siatkami drucianemi przykryte, aby były oczom dobrze dostępne a nietykane — leżą owoce pracy umysłowej. Oto 1500 dzieł przyrodniczych i lekarskich w ostatnim dziesięcioleciu wydanych. Ogrom pracy mozolnej, esencya studyów i badań żmudnych a ciężkich. Poważnych 10 tomów „Przeglądu lekarskiego“ na osobnym stole, książki Towarzystwa wydawniczego dzieł lekarskich, Wszechświat i inne. Na ścianach plany, trzydzieści tablic etnograficznych,

typy to całego świata przez prof. Kopernickiego zebrane. Taką ilością książek żadna dotąd wystawa przyrodniczo-lekarska poszczycić się nie może, bo praca to olbrzymia: zebrać i zestawić, a mniej wdzięczna, gdyż nieefektowna. Szpital św. Łazarza jako wzorowy, przedstawia w dalszym ciągu zmontowane łóżka takie, jakich dla swych chorych używa, własne pieczywo bez zarzutu pod kontrolą lekarską we własnej administracyi wyrabiane. Obok szpital dla dzieci św. Ludwika. Łóżeczko dla chorego dziecka, według wzoru prof. Jakubowskiego w Krakowie u Staszczyka ślusarza zrobione, kołyskę i stolik nocny, a obok druki do manipulacyi. To wszystko dla tych lekarzy, którzy po prowincyonalnych miastach szpitalami kierują a tylko mało mają sposobności z rzeczami temi specyalnemi z bliska się zetknąć. Pokój cały urządzony przez Dra Gwiazdomorskiego, ma dać obraz jego domu zdrowia, również cały sąsiedni zajął na swój gabinet elektro-terapeutyczny docent ze Lwowa Piotrowski, aby pokazać co ma się znajdować z przyrządów, książek i maszyn u lekarza, zajmującego się mało dotąd wyzyskaną w praktyce lekarskiej elektrycznością. W sali następnej wielkiej narożnej, urządziła gmina miasta Krakowa, swoją wystawę sanitarną, gdzie obok rzeczy, które były na wystawie w Turynie, są jeszcze najnowsze dla obecnej wystawy krakowskiej rysowane, kosztem 200 złr. danych na ten cel przez Świetną Radę Miejską. Tutaj też stoją znane z dobroci i elegancyi wyroby z blachy Markusa z Krakowa, więc wanny, piecyki, formy, bidety, klosety i najbardziej wymagającego zaspokajające przedmioty dla celów hygienicznych i codziennego życia służących. Firma ta zasługuje ze wszech miar na uznanie i poparcie, bo już wyrugowała od nas z tego przemysłu Niemców, którzy nas za te wyroby jak baranów strzygli. W tej też sali znajdują się wyroby żelazne Staszczyka. Są to przeważnie rzeczy dla użytku lekarzy służące, a stemplem ich dobroci to, że są używane na klinice nowej prof. Rydygiera i że mają być obstalowane u tej firmy do nowego pawilonu chirurgicznego, który dla prof. Obalińskiego Wydział krajowy już w roku przyszłym obok szpitala św. Łazarza postawi. Mamy pójść na pierwsze piętro. Spocząć możemy w bufecie, o którym też nie zapomniano na wystawie a umieszczono go w samej połowie wędrówki po salach wystawowych.

Na pierwszem piętrze w sali dużej, narożnej, czterema oknami oświetlonej, zgromadzono pokarmy i napoje zdrowotne. Izdebnik z wódkami jarzębowemi, jarzynami suszonemi i ziołami dla aptekarzy. Czyński i Zimmer z piernikami z Gniezna, K..prowicz z nalewkami; miody owocowe przez księdza wyrabiane, Dobrzyńska z mleczywem, Lityński ze Lwowa, Barner i Przybyłowicz z chlebami Grahama i innemi, a wszystko w kwiatach, których dobór wspaniały dostarczył krakowski ogrodnik Tengler.

W sali obok zaczynają się instrumenty chirurgiczne, których na tej wystawie więcej, jak kiedykolwiek gdzieindziej zgromadzono. Wyszczególniają się między niemi wyroby z Poznania od Kasprowicza i z Warszawy od Balukiewicza. Obaj ci panowie po raz pierwszy wstąpili w szranki wystawowe. Knapiński, nowa krakowska firma, dotychczas mało znana, zaprezentowała się również po raz pierwszy a dzielnie. Wogóle, patrząc na instrumenty te, przychodzimy do przekonania, żeśmy już dogonili zachód na niektórych szlakach. Lubański z Krakowa zbiór bandaży piękny zestawił, a szewc Werner wspaniałe obuwie i pomysły na nogi krzywe, chore, niekształtne, no i na całkiem zdrowe. Salę jedne opuścimy, bo o tem jako o czemś nowem, poważnem i wielkiego znaczenia, pomówimy na końcu; teraz zaś wejdziemy do sali narożnej od ulicy św. Anny, gdzie 37 wystawców zebranych prezentuje wyroby chemiczne i farmaceutyczne. Między setkami tysięcy wonnych rodzajów pigułek obciąganych i nieobciąganych, przyborach pachnących do chustek od nosa i cuchnących do opatrunków — dominujące zabrał miejsce wystawca z kapsułkami. W oknie herb wolnego m. Krakowa z kapsułek kolorowych, obok dąb, na którym rosną żołędzie z kapsułek, na tem piękna figura z terakoty pod tytułem „Recipe“, a obok dla chorych nadzwyczaj interesujące piramidy z kapsułek z kopaiwą i santałem. Wystawca ten Maryan Zahradnik fabrykant kapsułek Hygea z Jezierny — to fabrykant na wielką skalę. Laboratoryum warszawskie Majewskiego przysłało swoje światowej sławy krążki Tatra, a wielki fabrykant opatrunków M. L. Dobrowolski z Krakowa zachęcające do chirurgicznych chorób gazy, waty, mule, tiule, krepy, flanele i ceratki.

W sali, którą na koniec sobie zostawiliśmy, znajdują się wynalazki polskie. To potrzebuje pewnego wyjaśnienia, bo wystawcy, jakich nazwiska w tej sali spotykamy, to wszystko już nieboszczyki. Otóż jak już wspomniano, domagała się sekcya fizyczno-matematyczna zaraz z początku obrad gospodarczego wydziału ten zjazd urządzającego, aby celem wytworzenia, o ile można, zupełnego obrazu historyi działalności wynalazczej Polaków, urządzić wystawę wszystkich, które się zgromadzić dadzą, pomysłów i wynalazków poczynionych przez Polaków, po całym świecie rozproszonych. Żądanie to uwzględnił wydział gospodarczy i umieścił w II dziale ogłoszonego w swoim czasie programu wystawy propozycyą sekcyi wspomnianej, uważając wystawę wynalazków za bardzo odpowiednią.

Gdy myśl tę przyjęto i zaczęto się krzątać po świecie, aby wynalazki pozbierać, poruszył się świat uczonych polskich w tym kierunku; zaczęto nad kwestyą tą rozmyślać, a S. Dickstein w jednym z listów pisanych do dra Śliwińskiego podniósł kwestyą jeszcze większej wagi, mianowicie, czyby się nie dało utworzyć w Krakowie muzeum wynalazków polskich. Jesteśmy na podobieństwo żydów rozproszeni po całym świecie, wszędzie pozostawiamy twórczości ducha naszego ślady, w pomysłach i wynalazkach, które najczęściej w niepamięci przepadają lub je obcy wyzyskują, niejednokrotnie jeszcze przywłaszczając sobie do nich prawo własności. A gdy nam, pozbawionym własnego rządu zależy więcej jak innym narodom na tem, aby żadna choćby najdrobniejsza cząstka ze zdobyczy naszych narodowych nie została uronioną, bo tylko na tem polu możemy się dobijać jakiegoś równorzędnego stanowiska między narodami cywilizowanymi, powinniśmy więc wszystko co nasze a godne zbierać, składać, szanować, każdej odrobiny tem więcej ze zdobyczy duchowej dopilnować, aby nie zginęła, a przedewszystkiem powinniśmy się we wszystkich kierunkach obliczyć, cośmy już zrobili a co jeszcze do zrobienia pozostaje. To wszystko da nam takie muzeum. Niewątpimy, że myśl podczas zjazdu lekarzy i przyrodników rzucona a wystawą wynalazków poparta, znajdzie chętnych wykonawców, którzy przy pomocy gminy czy kraju rzecz do skutku doprowadzą, a muzeum takie będzie pomnikiem najtrwalszym obecnego VI zjazdu i wystawy.

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

V.

(List otwarty do M. Rodocia.)

Dzięki ci, mój Rodociu, za pochlebne rymy,
Których źródłem, że jednej idei służymy,
Że nie kryjem nagości gładkim fałszu listkiem,
Lecz wołamy gdzie możem: prawda przedewszystkiem!
Możemy często różne mieć o rzeczach sądy,
Nie godzić się nawzajem na nasze poglądy,
Lecz obaj się rządzimy tą maksymą starą:

Rżnij prawdę, jako umiesz, byle z dobrą wiarą.
Niebezpieczna to sprawa, bowiem prawdy czystéj
Nie znoszą kłapouchy, szakale i glisty, —
Więc kąsań, oplwań, kopań znosisz całą serję,
Którą cię raczą nasze kochane koterje.
Gdybyś wszystkim pochlebiał, kłaniał się i łasił
Bił czołem każdej bladze, światło prawy gasił,
I czuły, miły, słodki kłamstwu świecił bakę,
Miałbyś za sobą całą dziennikarską klakę,
Jadła, picia po uszy i grosz... na tabakę.

Ale nie nasza wina, że nie możemy się zastosować do „potrzeb chwili“. Jak się drugi raz urodzimy, to może będziemy „praktyczniejsi“. Ale ponieważ to nie tak prędko zapewne nastąpi, trzymajmy się ostro i tnijmy sztuką krzyżową, bo:

Kiedy Rodoć dobędzie satyrycznej lutni,
Zaraz chodzi bez głowy kilkunastu trutni.
A gdy ja swą szabliną rozmacham się nagle,
Trzyma się Sport za udo i stękają Żagle.

Trzeba ci bowiem wiedzieć, kochany Rodociu, że zostałem strasznie w ostatnich czasach zniweczon, ukrzyżowan, prawie pogrzebion, przez dwóch siłaczy pióra, z których jeden nazywa się Sportem, a drugi Żaglem. Pierwszy biedactwo oddaje już pono Panu Bogu ducha, a więc niech mu będzie lekką ta ziemia, na której posiał hojną dłonią setki błędów stylistycznych i gramatycznych. Drugi jednak wciąż mnie się czepia, jak pijany płotu, a dlaczego? to cię pokrótce objaśnię.

Był sobie taki pan, co pisał nietęgie wiersze. Dostało mu się za to po tebinkach od tego i owego, i odemnie także. Otóż znalazł się znowu jakiś inny pan, o którym „stało“, że jest pierwszorzędną (?) wielkością (?) literacką, a który pod pseudonimem Żagla w jakichś tam „Harmoniach i dyssonansach“, postanowił zemścić się srodze za tego pana, co pisał nietęgie wiersze i odmówił mnie, oraz temu i owemu prawa wydawania sądu, a nawet zbeształ siarczyście księgarza, u którego nietęgie wiersze były na składzie głównym, za to, że nikt ich nie chciał kupować.

W odpowiedzi na to zrobiłem p. Żaglowi parę grzecznych przedstawień i zapytałem się pokornie: z kim mam przyjemność? Bo rozumiem, jeżeli ktoś, tak np. jak ty, zacny Rodociu, występuje od początku pod pseudonimem, — a później go zarzuca lub zatrzymuje. W tym ostatnim razie pseudonim staje się jego literackiem nazwiskiem, — każdy wie, że Syrokomla to Kondratowicz, Bolesław Prus to Głowacki, Pług to Pietkiewicz itd. Okoliczności natury politycznej kazały Kraszewskiemu być przez pewien czas Bolesławitą; wyklęty przez cenzurę Sabowski musiał się podpisywać Wołodym Skibą, bo inaczej państwo rossyjskie, według zdania tej mądrej cenzury, mogłoby się zatrząść w swych posadach.

Wszystko to rozumiem, ale nie pojmuję dlaczego „wybitna osobistość literacka (?)“, okrywa się ni ztąd ni zowąd przyłbicą, pisząc nie o jakichś sprawach drażliwych, osobistych czy politycznych, lecz o kierunkach literatury i o krytyce. Jeżeli weźmiesz i to jeszcze, kochany Rodociu, na uwagę, że tajemnica nazwiska p. Żagla, jest najstaranniej dochowywana i niezdradzona nawet przed najbliższymi przyjaciołmi redakcyi „Świata“, — to możesz ze mną pochwalić dyskrecyę redakcyi, ale mimowoli, logicznie myśląc, dojdziesz do wniosku, że albo pan Żagiel pisze prawdę i prawdy się boi, albo pan Żagiel pisze kłamstwa i kłamstw się wstydzi.

Tę pokorną uwagę zrobiłem p. Żaglowi, — za co obszedł się ze mną krótko. Naprzód odmówił mi jako humoryście prawa wdawania się we wszelką krytykę. Nie śmiej się, Rodociu, bo to jest wydrukowane czarno na białem. Masz wiedzieć odtąd, że jako humorysta jesteś pisarzem pośledniejszego gatunku, że nie możesz ani odczuć piękności „Pana Tadeusza“, ani poznać sie na utworach Rozbickiego, a choć byś odczuł i poznał się, to jeszcze nie byłbyś w stanie, ba! nie wolno ci wyrazić ani o Mickiewiczu, ani o Rozbickim swego zdania. Uczynić to może tylko pisarz poważny, czyli inaczej mówiąc żaglowo-nudny. Bo dowcipnie pisać, mój Rodociu, to byle kto potrafi, — i Żagiel, gdyby tylko chciał, toby pisał zajmująco i dowcipnie. Ale on wie, że maluczko, a wszelki dowcip i humor wygnany zostanie zupełnie z literatury, a żaki przyszłych pokoleń uczyć się będą na pamięć „Harmonij i dyssonansów“ Żagla.

Do jakiej to aberacyi dochodzą niektóre głowy, którym się wydaje, że ten lub ów rodzaj tworzenia jest wyższy, które nie są w stanie pojąć, że mały obrazek rodzajowy może być większy niż wielki obraz historyczny, że dobra (nie mówię znakomita) humoreska daleko więcej czasem jest warta od dwutomowej „poważnej“ kompilacyi, tak jak znowu dobra rozprawa literacka więcej często zaważy, niż dziesięć kilo humoresek.

Wolno zresztą Żaglowi mieć swoje zdanie, choćby było nie wiem jak... żaglowate, ale ten pan, mój Rodociu puścił się na pole kłamstwa i napisał, że ja sam używam pseudonimu Ś r e d n i k i że jako Ś r e d n i k ciągle piszę w „Kraju“ pochwalne hymny dla K. Bartoszewicza.

Pierwszy zarzut napozór słuszny, ale dla tych tylko, co nie wiedzą o pewnych zwyczajach literacko-dziennikarskich.

P. Żagiel jest pono „wybitną (?) osobistością w literaturze“, a więc tyle powinien wiedzieć, że pod zwykłemi sprawozdawczemi korespondencyami niema zwyczaju kłaść nazwiska autora. Wie dalej, bo każdy czytelnik tego się domyśli, że redakcya „Kraju“, swoim stałym korespondentom, dla odróżnienia ich od przygodnych, wymyśliła rodzaj-pseudonimów, zastępujących umieszczane w innych pismach na początku karespondencyj krzyżyki, kreski lub znaki pisarskie. A więc ze Lwowa stale pisze Nota, z Poznania Domarat, z Bułgaryi Petko, z Pragi Stały, z Wilna Wesper i Letuwisław, z Rusi Łuna, z Wiednia Marius itd. aż wreszcie z Krakowa Średnik. Taką oznakę raczej, niż pseudonim, stałego korespondenta miał nawet Hausner. Kto już te niby pseudonimy przeczyta, widzi, że z pod jednej wyszły ręki i zrozumie ich rzeczywiste znaczenie. Zresztą kto tylko „Kraj“ przegląda w Krakowie, ten wie, kto jest Średnikiem i że ten Średnik nigdy tajemnicą nie otaczał swego w „Kraju“ współpracownictwa.

Bywają więc pseudonimy i pseudonimy, — Żagiel to właściwie kryptonym, bo się starannie ukrywa, a Średnik to taki sam znak jak (=) p. Szczepańskiego korespondenta „Czasu“, jak zz przed artykułami posła Romanowicza w „N. Reformie. Żagiel o tem wie dobrze, ale udaje, że nie wie.

Wie także, że napisał kłamstwo zarzucając mi reklamę własną. Weź, kochany Rodociu, wszystkie numera „Kraju“ z tego roku i czytaj pilnie artykuły Średnika, a ciekawym jak ci się wyda owa reklama dla Bartoszewicza. Ułatwię ci to i przejrzę sam Nra „Kraju“ od początku roku.

Prawda, są, są reklamy. W Nrze 1 jest wzmianka, że wyszedł pierwszy Nr. Krakusa pod redakcyą K. Bartoszewicza. Dalej w Nrze 5tym czytasz, że B. ma przedłożyć „Spółce wyd. polskiej“ projekt wydawnictwa „Encyklopedyi rzeczy polskich“. W Nrze 12 w obszerniejszym ustępie o 10letniej działalności „Koła art.-lit.“ znajdziesz różne nazwiska, lecz nie znajdziesz nazwiska B. choć jeżeli gdzie, to tu mogło być dziesięć razy wspominane. Za to strach, jaka reklama w Nrze 19stym, bo B. jest dwa razy wspominany, raz w spisie współpracowników „Myśli“, drugi raz jest sucha wzmianka, że miał odczyt w kole art.-literackim. W Nrze 20 reklama przechodzi już wszelkie granice, bo pisząc o wystawie portretów z czasów konstytucyi 3go Maja, donosi Średnik, że znalazł w niej B. materyał do „Albumu portretów odnoszących się do konstytucyi 3go Maja“, które to Album (o straszna reklamo!) „cieszy się uznaniem“. W Nrze 23 jest B. zamieszczony w spisie wybranych członków Wydziału „Koła art.-lit.“ I na

tem koniec — i na podstawie tego jegomość p. Żagiel twierdzi, że „w każdym Nrze Kraju znajdują się hymny pochwalne na cześć p. Bartoszewicza, wyśpiewywane wielkim głosem przez Średnika“.

I powiedz mi teraz, mój Rodociu, jak się nazywa to, co popełnił drukiem p. Żagieł. Powiedz, czy ja temu winien, że nie on redaguje „Krakusa“, że nie on miał odczyt w „Kole“, że nie on wydaje „Album“. Jeszcze tę krótką wzmiankę o „Albumie“ możnaby na upartego nazwać reklamą, tylko nie dla mnie, lecz dla „Albumu“ — i to gdyby „Album“ przepuściła cenzura rossyjska i gdyby w Królestwie i Rossyi wolno je było nabywać, co niestety nawet przy pomocy trójprzymierza nie tak rychło nastąpi.

Więc nietylko Ty, mój Rodociu, masz kłopot z rycerzami pióra od siedmiu boleści, — każdy z nas ma swoje... Żagle.

Lecz furda, mościpanie, wyostrz serpentynę,
Tnij mocno, a nie zginiesz — i ja też nie zginę.

A tymczasem, czybyś nie zechciał podpisać mojej petycyi do Zjazdu lekarzy i przyrodników, która brzmi jak następuje:

Świetny Zjazd zechce ogłosić konkurs na wynalezienie środka leczniczego dla pokąsanych milczkiem od nieznanych z imienia i nazwiska żyjątek. Są to istoty złośliwe, krótkowidzące, organizacyi słabej. Lęgną się na śmietnikach literackich i lubo za pomocą jednego szczutka uśmiercić je można, trudność utrafienia leży w tem, że są prawie niewidzialne.

Świetny Zjazd raczy rozpatrzeć, czy założone w Krakowie Towarzystwo ratunkowe nie powinno w pierwszym rzędzie nieść pomocy ludziom napadniętym manją wielkości i potępiającym każdą skromną działalność literacką, na podstawie jedynie wizytacyi zakładów naukowych zagranicznych, zapominając, że i w Paryżu.... z piasku bicza nie ukręci?

Świetny Zjazd raczy wypowiedzieć swe zdanie, czy wyścigi mogą zastąpić w Krakowie dobrą wodę do picia?

A teraz żegnaj mi, mój Rodociu, i baw się dobrze w Zakopanem. Niech powietrze górskie zaostrzy Twój dzielny humor na pociechę moją i twych licznych zwolenników.

K. Bartoszewicz.

ELIZA ORZESZKOWA

STUDYUM

PRZEZ

J. NITOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Odmienne ma założenie powieść Orzeszkowej p.t. „Marta“. W poprzedniej bowiem widzieliśmy przerażające swoją nicością życie salonowe, w tej zaś mamy przed sobą straszny obraz ciężkich zapasów z życiem, walkę o chleb powszedni młodej kobiety, zmuszonej iść o własnych siłach, a bynajmniej nie przygotowanej i nie uzdolnionej do pracy. Bohaterka powieści, córka eks-obywatela ziemskiego i wdowa po urzędniku, zostawszy po śmierci męża bez żadnych środków do życia, postanawia jąć się do pracy, by móc siebie i małą córeczkę wyżywić. Zrazu zamierza pracować w zawodzie nauczycielskim, ale w krótkim czasie przekonywa się, że brak jej zupełny specyalnego w tym względzie wykształcenia. Ponieważ umiała rysować, poczęła więc czynić starania o zyskanie posady rysowniczki; pierwsza atoli próba kopii rysunku wykazała to samo zupełnie, co i miesięczne udzielanie lekcyi: Marta talent wrodzony do rysowania miała, ale nie rozwinięto go staranną nauką i pracą w tym kierunku. Z bólem teraz dopiero spostrzegać poczyna, że całe wychowanie, jakie otrzymała w domu rodzicielskim oparte było na blichtrze tylko; uczono ją wprawdzie różnych przedmiotów, ale powierzchownie, dla oka ludzkiego, gruntownie zaś nie dano jej poznać żadnego przedmiotu, nie wychowano fachowo w żadnym kierunku. Doznawszy takiego zawodu dwukrotnego, biedna kobieta rozstaje się z nadzieją uzyskania pracy umysłowej, a pod naciskiem nędzy stara się znaleść inne jakiebądź zajęcie, któreby dało jej możność zabezpieczenia siebie i dziecka od śmierci głodowej. Ale i tym razem następuje zawód: w sklepie ubiorów damskich nie chcą kobiet, sklepowych, bo mężczyźni lepiej umieją te obowiązki wypełniać; w szwalni również odmawiają jej zajęcia, ponieważ Marta nie umie szyć na maszynie. Po długich nakoniec zabiegach udaje się jej otrzymać robotę w pracowni bielizny, której właścicielka, kobieta mocno podejrzanej wartości moralnej, ze całodzienną pracę ofiaruje jej 40 groszy. Nędza i upokorzenie przygnębiają Martę i głuszą w niej stopniowo szlachetniejsze pierwiastki duchowe. Głód zmusza do przyjmowania jałmużny, a gdy dziecko jej zachorowało niebezpiecznie i nie było za co kupić lekarstwa, kobieta ta nie zawahała się ukraść kilku rubli w sklepie, do którego weszła z prośbą o datek i ścigana przez policyą, wpada pod koła nadjeżdżającego tramwaju, gdzie, po bezskutecznych walkach z życiem, śmierć znajduje nakoniec.

I w tej powieści silny nacisk kładzie autorka na błędne wychowanie kobiety. Nie nauczono Marty zamłodu pracować, nie wykształcono gruntownie w żadnym fachu, nie dano w ręce żadnej broni, którą mogłaby w ciężkich warunkach życia zwalczać przeciwności. Kobieta taka, będąc pozbawioną oparcia nazewnątrz siebie, nie umie dać sobie rady, bo z wnętrza swego nic nie wysnuje; po daremnych walkach, jeśli ma jeszcze sił dostatecznie, aby czas jakiś walczyć, musi ginąć w końcu tembardziej, że instytucye społeczne zbyt mało dają kobiecie pola do pracy. Wszelkie usiłowania kobiet poszukujących pracy, rozbijają się, jak o mur, o przesądy społeczeństwa, otrzymane w spadku po przodkach. Wina tu więc cięży bezwątpienia z jednej strony na społeczeństwie, ograniczającem pole działalności kobiecej, a z drugiej stokroć większa zapewne na rodzicach i opiekunach, nie pojmujących całej wagi wykształcenia młodych kobiet, które w życiu późniejszem nie umieją w razie potrzeby na kawałek chleba zapracować. O tę samą kwestyę niezdolności do pracy potrąca również Orzeszkowa i w „Pamiętniku Wacławy“, gdzie Emilia, jedna z bohaterek powieści, postanowiwszy pracować w zawodzie nauczycielsklm, tak samo, jak i Marta, ujrzała rychło, że braknie jej potrzebnego w tej mierze wykształcenia.

W powieści p. t. „Na prowincyi“, autorka wyraźnie kładzie nacisk na poddawanie wielkich uczuć kontroli rozumu: „Publiczne demonstracye miłości — mówi — to rzecz podejrzana. Jeżeli już nie fałsz, to szał w nich leży. A gdzie jest szał, tam niema rozumu, a gdzie niema rozumu, tam szczęście kruche“ (Na prowincyi t. 2, str. 48). Marya może być uważaną jako jeden z lepszych dodatnich typów niewieścich, ześrodkowujących w sobie znaczną część tych przymiotów, które Orzeszkowa tak gorąco pragnęłaby widzieć u płci swojej. Najpierw jest ona zacną, kochającą córką, poświęcającą siebie dla miłości ojca, następnie uczciwą żoną i matką dzieci przybranych, a nakoniec, co najważniejsza, rozumną kobietą czynu, zdolną do wielkiej miłości i do wielkich ofiar w imię własnych przekonań. Drugim podobnym typem kobiety jest Anna Siecińska z „Rodziny Brochwiczów“, która z nieprzełamaną energią i siłą woli zabiera się do pracy, aby nietylko nie być ciężarem zubożałej rodzinie, ale jeszcze swą pracą wspólnie z bratem zapewnić jej utrzymanie. Anna, jak i Marya, bynajmniej gruntownie i wszechstronnie wykształconą nie jest; posiada atoli wrodzony zdrowy rozsądek, poj-

muje dobrze swe obowiązki jako starszej siostry, na którą spada opieka nad młodszem rodzeństwem, rozumie doniosłe znaczenie pracy i umie, gdy zajdzie istotna potrzeba, poświęcić swe własne uczucia w imię obowiązku lub w imię dobrze pojętej godności ludzkiej. Należy tu zwrócić uwagę, że ideały kobiet Orzeszkowej różnią się znacznie od tych ideałów, które tworzyło powieściopisarstwo nasze ubiegłej epoki. Jej ideał, zgodny z pojęciem i wymaganiem czasu, nie jest jakąś postacią tytaniczną, zdolną przez swą siłę miłości do prac nadludzkich, nie jest także z drugiej strony jakąś istotą niepochwytną, owianą mgłą i otoczoną gwiazdami, istotą, która posiada same tylko zalety, a żadnych wad. Przeciwnie! ideały kobiet i tak samo mężczyzn Orzeszkowej są przedewszystkiem ludźmi, których naśladować można i należy. Są to postaci z krwi i kości, a więc i nie bez pewnych wad, ale postacie te o całe niebo nad zwykły tłum wyrastają przez swą gorącą miłość ogółu, przez poczucie swych obowiązków i przez swój rozsądek, wsparty nabytem wykształceniem. Orzeszkowa przedewszystkiem pyta człowieka, jaką jest jego rola wśród tej wielkiej rodziny, co się narodem zowie, co on dla niej uczynić potrafi i jakie po temu ma środki w swym duchu. Zacność, rozum i praca — oto są trzy czynniki, wedle Orzeszkowej, składające się na wytworzenie ideału człowieka, na prawdziwą wielkość. W powieści p. t. „Ostatnia miłość„ powiada autorka: „Przyłóżcie ucho tam, gdzie silną pulsacyą uderzają tętna dzisiejszego wieku, wieku tego, w którym żyjecie; spytajcie, czem dziś jest wielkość? A owe głosy, co się wydobywają z samej duchowej głębi społeczeństwa, owe potężne a tajemnicze dla wielu tchnienia, co są wyrazem pragnień i dążeń ludzkości, odpowiedzą wam wyrazami: zacność, rozum, praca. Tam, gdzie znajdziecie tych trzech pojęć wcielenie, znajdziecie wielkość. Gdzieindziej jej nie szukajcie, bo poza niemi są pozory tylko i błędne ogniki, niema słońca ani prawdy.... gdy człowiek, urodziwszy sie n i c z e m, przez pracę i czyn stanie się w s z y s t k i e m, czem się tylko człowiek stać może, wtedy jest wielkim“.

Takim właśnie ideałem w powyższej powieści jest inżynier Stefan Rawicki, który zdołał rozbudzić w sercu młodej rozwódki Reginy uczucie pierwszej miłości. Powieść ta była pierwszą obszerniejszą drukowaną pracą naszej autorki, nie dziw więc, że krytyka słusznie czyni jej wiele poważnych zarzutów. W „Ostatniej miłości“ znać przedewszystkiem pióro niewyrobione jeszcze, pewne łamanie się z formą i ciągłe usiłowanie nawiązania akcyi, która mimo to przechodzi często dyalogowanie. Autorka częściej wprost przemawia od siebie lub swe myśli wkłada w usta bohaterów i tem zastępuje akcyę samą, z której powinien czytelnik bezpośrednio wyprowadzać wnioski i odgadywać charaktery osób. Taki zresztą brak przedmiotowości w każdej z powieści, ukazujących się w dalszym ciągu, stopniowo się zmniejsza i już w piątej z kolei pracy t. j. w „Pamiętniku Wacławy“ schodzi do minimum. Tu już zamiast monologów samej autorki widzimy żywe, ruszające się i działające postaci, które czynami swymi przemawiają do czytelnika. „Ostatnia miłość“, jak i wyżej cytowane powieści, ma za główną osnowę swoją kwestyą kobiecą. Regina otrzymała wykształcenie, jak wogóle kobiety nasze, pozorne tylko, obliczone na sprawianie efektu, oparte na blichtrze. Znajomości życia i ludzi nie miała żadnej; nie dziw przeto, że w młodym wieku pierwsze żywsze uderzenie serca wzięła za miłość prawdziwą i oddała bez wahania rękę człowiekowi, który łudził pozorami tylko, a w istocie był zerem. Po krótkim czasie otwarły się jej oczy i całą straszną rzeczywistość ujrzała przed sobą. Jedynym ratunkiem był rozwód, który zdołała otrzymać, poczem, poznawszy Stefana Rawickiego, człowieka ze wszechmiar godnego miłości zacnej i rozsądnej kobiety, oddaje mu swe serce i rękę. Z pobieżnego streszczenia tego widzimy, że główną rolę w opowiadaniu gra kwestya wchodzenia kobiety w związki małżeńskie, których znaczenia, całej doniosłości i świętości, że się tak wyrażę, ogół kobiet z bardzo nielicznym wyjątkiem nie rozumie wcale. Panna słyszy od lat najmłodszych, że celem jej jest wyjście za mąż, ale na czem ma oprzeć swe szczęście małżeńskie w przyszłości, nie ma żadnego pojęcia zdrowego. Nie dziw więc, że młoda kobieta, nie znając świata i ludzi, nie rozumiejąc siebie samej, często silniejsze uderzenie serca bierze za miłość istotną i wychodzi za mąż, nie zastanawiając się bynajmniej nad tem, czy ten, z kim na całe życie los swój związała, odpowie wymaganiom jej serca i umysłu, czy jest człowiekiem, godnym szacunku prawdziwego. Gdy miną pierwsze chwile szału, zwanego mylnie miłością, kobieta powoli poczyna dostrzegać te wady, których nie widziała pierwej. Życie bez miłości możliwe jest najzupełniej z człowiekiem uczciwym i względnie przynajmniej ukształconym; ale cóż począć, gdy się okaże, że człowiek ten nie wart szacunku? Rozwód, który np. w tej powieści uwolnił kobietę od dalszych smutnych następstw nierozwagi, nie zawsze jest możliwym; pozostaje więc w razie przeciwnym długie, bez nadziei polepszenia, pełne cierpień życie. W takich właśnie okolicznościach znalazła się Kamilla, żona głównego bohatera jednej z celniejszych powieści p. t. „Pan Graba“. (C. d. n.).

KAIN.

POEMAT.

Leconte de Lisle'a.

(Tłum. z franc. A. Lange).

(Ciąg dalszy).

Dusze khamosa — krowy z ciężkiemi wymiony,
Czarne kozły i byki zbłąkane — szeregiem
Szły — i, bite oszczepem — wartkim spieszą biegiem,
I łydki wielbłądzicy gryzł kundel spieniony
I wrota skrzypią zawias pordzewiałych ściegiem.

Śmiechy, gwar, odgłos dzikich pieśni coraz żywszy,
Pomięszany z żałosnem gnanych stad beczeniem,
Niby huk skał pod fali burzliwem wstrząśnieniem
Szły aż do wież, gdzie na krzyż ręce założywszy
Stali starcy, skórzanem pokryci odzieniem.

Widziadła, którym broda całe piersi bieli
I srebrną pianą błędnie na ramiona bieży,
Nieruchomi od twardych skórzanych kołnierzy,
I którzy z szczytu murów dumnie się patrzeli
Na swój lud, co ma w oczach głąb mórz bez rubieży.

I później kiedy wszystko: tłum i szum i pyły
Znikły za wałem grodu olbrzymów straszliwym
Mroki nocy z czeluści swoich wyłoniły
Głuchej zgrozy i strachu lodowate siły —
Rozlane śród tumanów w westchnieniu chrapliwem.

I Widzący czuł, jak mu staje włos na głowie,
Gdy ujrzał, jak się z mroków ta zgroza wychyli
I poznał w swoim duchu, że tu postawili
Przed laty gród męczarni wyklęci przodkowie,
Że tu jest grób Kaina na ziemi Horili.

Tu stanął skrwawioną stopą, zlaną kurzem
I krwawem patrząc okiem, błędnej rzekł rodzinie:
„Grób mi zbudujcie! Życia mego czas wnet minie,
Złóżcie mnie swobodnego pod kamiennem wzgórzem,
Tułacz chce spać! Dość zniosłem bólów. Umrę ninie!

Ziemie nieznane ludziom, dzikich gór pieczary,
Wyście widziały, jakem tułał się po świecie

Bezustannie. Tu staję i padam. Na grzbiecie
Połóżcie mnie w mogile, twarzą w niebios gwary
O! wy mojej miłości i rozpaczy dzieci!

Niechaj słońce spogląda i niechaj deszcz myje
Piętno, co mi nienawiść wyryła nad czołem,
Ciało moje przed głodnym sępem i sokołem
Uchroni się. Mych pustych oczu mrok nie wyje,
Bojaźliwi zamilkną nad mej śmierci dołem.

(D. c. n.)

GAWĘDY ARTYSTYCZNO-LITERACKIE.

Kazimierz Tetmajer. Poezye. Kraków 1891.

I.

Czasy dzisiejsze — tak zaczął lat temu dziesięć Piotr Chmielowski jeden z swych odczytów — nie sprzyjają poezyi. A tu jakby na przekór wyrasta i z dniem każdym olbrzymieje nowy Parnas. Czyżby w tak krótkim czasie literacka gleba nasza zmieniła się rdzennie? Bynajmniej — bo właśnie doba „dzisiejsza“ jak żadna inna sprzyja poezyi, która niby satelita bólu i cierpień narodowych jaśnieć musi promienną gloryą nad każdą męczeńską głową. Przestarzała teoryjka — nie twierdzimy bynajmniej, iż dr. Chmielowski należy do jej wyznawców — nauczyła ogół wierzyć, że sztuka i wszelka w ogóle twórczość artystyczna podobne są kwiatom, co wyrastają jeno pod szkłem kosztownych cieplarń lub na starannie pielęgnowanych klombach. To fałsz, bo poezya przynajmniej plenić się potrafi na ziemi zranionej, zroszonej krwią i łzami, jęczącej i opuszczonej. Nie będzie ona wtedy kwietnym kobiercem pałaców ani pnącą się po firankach koronkowych girlandą, nie będą jej czytać zgniłki ani buduarowe mimozy, nie wycisną z niej perfum na cytaty i godła do kuryerkowych rubryk p. t. „Równianka myśli“, ale zdrowy rdzeń czytającego świata zasmakuje w niej jak w polnych kwiatach o woni trochę ostrej, nieraz gorzkawej, ale miłych oku i sercu dlatego, że strzeliły w górę siłą żywotności ziemi, samorodne, bujne, wytrwałe na wichry i słoty, nawskróś swojskie i silne w swych barwach.

Taka poezya właśnie kiełkuje u nas od paru lat. Te same, mniej więcej, motywy, myśli i uczucia, ludzi i przyrodę, które ujmują w ramę nowel i powieści Prus, Orzeszkowa, Dygasiński i wielu *gentium minorum* pisarzów, w sposób często mistrzowski — teraz, zwolna przekradają się do poezyi rymowanej, ku wielkiemu zgorszeniu romantyków i klasyków, pewnych, że mową wiązaną opiewać można tylko treść „szeroką“, „wzniosłą“, „patetyczną“ i poetyczną“. Niestety dla nich, a chwała Bogu, dla nas „przeminął czas“, kiedy pytano utworu, czem działa na słuchacza, a nastał dzień, w którym, chcemy czy nie chcemy — pytać musimy, jak on działa, t. j. z jaką siłą? Jeśli naszem jestestwem wstrząśnie, strunę ducha naszego jakąkolwiek w drżenie rozkoszne wprawi, to znaczy, że jest pokrewnym nam instrumentem, że melodyjnie i świadomie wygrywa to, co w łonie naszem drzemie wprawdzie, ale żyje i lada chwilę do świadomości się zerwie. Owóż podobnego rodzaju wzruszeń od niedawna doznajemy. Zjawił się cały szereg grajków zuchwalców, których nie przeraża wcale szkolarski nałóg poezyj w tak zwanym szerokim stylu. Nie są to jeszcze wirtuozowie, niekiedy nawet rażą błędami estetycznymi najgrubszego kalibru, ale bądźcobądź stanowią oddział — kto wie, może przednie czaty armii — waleczny, tchnący świeżością sił. Zasługiwaliby oni może na osobne studyum porównawcze i całokształtne, ale na tem miejscu wspomnimy jeno o Rossowskim, Kasprowiczu, Niemojowskim i Nowickim. Dalecyśmy od stawiania ich na równi pod względem talentu, którego temu i owemu dostała się w udziale kruszynka zaledwo. Niechętni też wszelkim dorywczym uogólnieniom, nie uważamy ich za duchowe bractwo. Ale to pewna, że jest pewne tętno, gorące, namiętne, które ich ze sobą łączy. Lgną do doktryny w ideach społecznych, kochają się w pejzażu, śmiałem okiem spoglądają w twarz niższemu g e n r e'owi, wielbią postęp, niezależność i lud. Najpełniej i najsamodzielniej wypowiedział się Kasprowicz, zdolność wielka, samorodna, oryginalna, lecz i o innych dałoby się sporo dobrego powiedzieć. Dłużej wszakże zatrzymać się chcę nad ostatnim ich towarzyszem, p. Kazimierzem Tetmajerem, niekoniecznie dlatego, by na rozbiór szerszy zasługiwał, lecz że w jego zbiorku „Poezyj“, świeżo wydanym, dosyć typowo ujawniają się nowe prądy.

Domyśleć się łatwo, że wizerunek, jakiby naszkicować się dał z pomocą wyznań lirycznych młodego poety, może być jedynie charakterystyką tymczasową, niepewną. Ustrój to dopiero rozchylający się z pączka, i dalsze losy mogą wbrew wszelkim portretom wiele nowych czynników wprowadzić weń, a wiele dawnych wyrugować. Jak na dziś w panu Tetmajerze uderza przedewszystkiem cecha ogólna talentów początkujących, młody zapał, szlachetny idealizm, pociąg do deklamacyi. A że podobne usposobienie zwykle działa dwojako, rodząc bądź zwykły retoryczny galop, nieopatrzne harcowanie z krzywdą dla sztuki, bądz wzloty jeśli nie orle, to przynajmniej sokole, przeto i wiązanka, o której mowa, zawiera w sobie rzeczy najrozmaitszej wartości.

Można się o tem łatwo przekonać, nie tracąc jednak z uwagi, z jakich głównie motywów składa sie skarbczyk pieśniarski autora. Pierwszeństwo oddać tu musimy „Wierszom ku uczczeniu pamięci Mickiewicza i Kraszewskiego“, w których drga najwdzięczniejszy po wsze czasy dla poezyi temat miłości ku ojczyźnie. Pobrzmiewa tam żal i skarga, odwaga i wezwanie do męstwa, hasło pracy i jedności, pobudki rozumne i dojrzałe, dalekie od hałaśliwych dźwięków trąbek dziecięcych, usiłujących naśladować surmy bojowe. Czuć w nich szkołę nowszą, rozważną, ochłodzoną ale i zahartowaną, czuć ów rozum z historyi i nauk społecznych wyssany, z którym przecież łączy się zazwyczaj siła prawdziwa, głębia przekonania, słowem czynniki, owocniejsze niż napady nerwowe, konwulsye poetyckie dawnej daty. Poeta ma przytem świadomość roli, jaka przypada w udziale młodzieży, sam do jej szeregu chętnie siebie zalicza i widocznie program, jaki głosi, zrósł się z jego istotą, skoro mimo nierzadkie wybuchy retoryki i frazeologii, gromkiej a niepotrzebnej, zdobyć się potrafi na takie oto z pomiędzy innych strofy szczere, skrysztalone:

A jeśli dziś my młodzi przeznaczeni,
By dźwignąć kraj przez poświęcenia trud
To serce w nas ideą się płomieni,
Że wstanie z mar o jednej duszy lud.

W milionie głów myśl jedna niechaj żyje
I jedna pieśń niech z bratnich wzleci łon;
Milionów dłoń niech jednym młotem bije
I jeden spichrz niech wspólny chowa plon.

Braterstwo serc nad stal jest zbroją tęgą;
Gdzie różny duch — tam niczem jest moc ciał;
Związany lud miłości wszechprzysięgą,
Okowy swe z pogardą będzie rwał.

Słowa te w zupełności zasługiwały na przytoczenie. Na tę samą nutę śpiewa autor w poemacie napisanym z okoliczności sprowadzenia zwłok Mickiewicza. Boi się „palącego wzroku orła, co gardzi płazem“ i woli, żeby szczątki wielkiego wieszcza nie patrzyły wcale na znikczemniały naród, którego „półmartwe pragnienia nicość półmartwych dusz rozbiła w nic!...“

Wtedy dopiero odważę się znieść surowe spojrzenie nieśmiertelnego, gdy znowu będziemy mocni i niezłomni, jak własne jego myśli. Czytając wiersz ten, słyszymy jak gdyby odległe echo „Grobu Agamemnona“ i skłonni jesteśmy do posądzenia p. Tetmajera o naśladownictwo, ale niestety gospodarka nasza narodowa zbyt często nawiewa dumy w rodzaju tych, jakie snuł Słowacki na temat Termopylów i Cheronei, ażebyśmy mieli prawo żądania bezwzględnej nowości pomysłu.

Niezawsze autor jasno zdaje sobie sprawę ze swoich uczuć i pragnień. Pegaz oskrzydlony czczem krasomówstwem unosi go niewiadomo dokąd; to znaczy, innemi słowy, że nie zawsze rozumieć można o co mu chodzi. Tak n. p. ładny, skądinąd wiersz „Wody...“ możnaby pojmować jako groźbę swoim i jako groźbę zagłady obcym. Sporo też momentów mglistych, znamionujących brak należytego przetrawienia i ścisłości, napotykasz w „Przejętych“. I znowu myśl młodzieńcza wynurza się śmiele i wyraziście w „Poetach idealistach“, gdzie znajdujemy jaskrawy dowód nowej, pocieszającej prawdy, iż hołdowanie godłom najnowszym, świeży stempel ducha, doskonale, ba, niezbędnie łączy się w porywaniu dla idei i bez nadziei dotykalnego plonu. Piszemy się oburącz na gorące okrzyki poety; każdej płomienniejszej duszy schlebiać musi ta pewność, że z pod gruzów przejściowego i źle pojętego materyalizmu, z pod stosu oszczerstw i kłamstw — idealizm wyłania się w nowej postaci, jako potężna, etyczno-narodowa sprężyna. Przebywamy teraz odrodzenie idealizmu na całkiem pozytywnych podstawach, których dostarcza nam sama nauka o życiu (jak to wykazał jeden z największych myślicieli naszych czasów, zgasły w sile wieku M. Guyau w swoim: „Zarysie etyki bez obowiązku i sankcyi“ oraz Alfred Fouille w dziełach o idei-dźwigni). Sama organiczna żywotność nasza prze do walki, niebezpieczeństw, pracy i śmierci męczeńskiej bez żadnego wyrachowania. Młody nasz poeta prawdopodobnie o tem nie wie, ale snadź czuje w powietrzu rozświt idei dla idei, nie wstydzi się jej, nie obawia drwin chłodnego rozsądku. W tym właśnie nastroju idealistycznym a przecież nasiąkłym tchnieniami zdrowej historyozofii i socyologii widzimy świeżość i racyę bytu pokolenia młodych autorów, do którego należy p. Tetmajer. Jeżeliby jemu i drużynie całej udało się kiedyś z większą siłą i poezyą wysłowić te pragnienia, dziejopis literatury miałby prawo rzec, iż i poezyę zapłodnił siew, który wschodzi w sercach i umysłach najzdrowszej, najdzielniejszej części narodu, że drogowskaz polityczny, który nam najpewniej rokuje wygraną, znalazł swój wyraz poetycki. Niestety jednak, autor nie wyśpiewywa ideałów swych rozumnych w sposób natchniony.

Ażeby liryka, głosząca pewne dążenia i plany, mogła się głębiej wrażać w umysł, musi mieć siłę i obrazowość „Ody do młodości“ Mickiewicza. Sam polot nie wystarcza. Apostrofy, wykrzykniki i domyślniki giną bez śladu w każdem bogatszem piśmiennictwie. Tylko c z y n y i f a k t y, to jest d r a m a t i o b r a z y artystyczne zdołają przetrwać. Liryzm w ścisłem znaczeniu wyrazu, jako coś różnego od akcyi i od opowieści schodzi na zwykły stylowy popis. Pod tym względem radzilibyśmy p. Tetmajerowi wczytać się w takie utwory jak „Noc letnia“ Konopnickiej, lub w liryki niezrównane Asnyka, wówczas ustrzeże się takich niedonoszonych, nieukształtowanych płodów, jak zacne w swej treści „Cienie“. Liryzm, innemi słowy, wtedy tylko przestaje być lotnym podmuchem wietrzyka, gdy zarazem przestaje być sobą, to jest roztapia się w pierwiastki epiczne i dramatyczne. Nieszczęsna tradycya podziału poezyi według Arystotelesa i nadal trwoni młodzieńcze siły na retorykę.

Dlatego taką piękną, nigdy nie starzejącą się formą jest sonet, w którym poeci rozsnuwają zwykle porównanie, alegoryą, obraz natury, ażeby je w końcowych dopiero wierszach zużytkować dla myśli zasadniczej. Wreszcie działa na nas liryka, gdy jest wyznaniem, spowiedzią, ale tak głęboko i przekonywająco z duszy poety wytrysłą, że zda się, iż płynie jak krew ze zranionego serca, że nam odsłania jego wnętrze, i tak jasno i wypukle ukazuje jego uczucie, jakgdyby sam stał przed nami *in corpore*. Wielcy śpiewacy swojego ja, którzy nazywają się poetami weltschmerzu, samą skargą lub marzeniem wywołują taki efekt sceniczny, jak gdyby byli bohaterami dramatu; wyobraźnia nasza nadaje im pewne określone pozy; osobistość namacalna, żywa, pełna ekspresyi musi wyzierać z liryki, inaczej bowiem najbardziej melodyjny i harmonijny poemat rozpadnie się na luźne słowa, jak sznurek paciorków. Proszę pomyśleć jeno o Heinem, Shelleyu, W. Hugo, Baudelairze, a pewnik ten wyjdzie na jaw w całej pełni.

Rozwodzimy się nad tem szeroko, gdyż żal nam wszystkich owych entuzyastów, którzy nie mając jeszcze dosyć złożonego a więc tem samem ciekawego rdzenia ducha, kują mozolnie rymy, dobre na mowy, powitania, pożegnania, godła, *creda*, ale nietrwałe, niedługowieczne, bo w nich niemasz c i a ł a, m a t e r y i, f a k t u, czyli niemasz o b r a z u, i n d y w i d u a l n o ś c i, d z i a ł a n i a. Nietylko nasza poezya choruje na wodno-liryczną puchlinę, pocieszmy się, ale to nie osłabia bynajmniej doniosłości rady, ażeby każdy młody poeta rachował się z potomnymi, i pisał tak, by zasłużyć sobie na nieśmiertelność. Czy ją osięgnie, to inna sprawa, ale gdyby każdy szeregowiec nie miał w swym tornistrze buławy marszałkowskiej — do końca świata istnieliby sami żołnierze. Gdyby wszyscy poeci zapominali o znikomości liryki *sensu stricto*, t. j. bezobrazowej, niedramatycznej, bezosobowej — trzeba byłoby myśleć o nowej arce Noego — bo rychło zalałby literaturę powszechną potop deklamacyj.

Cezary Jellenta.

CÓRKA LEŚNEGO.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

WISŁAWA.

(Ciąg dalszy).

V.

Zima nie mogła się ustalić.

Śnieg padał, marzł, tajał i ginął. — Przed samą Wigilią Bożego Narodzenia dopiero, ukazały się puszyste płaty, niby gołąbki fruwające w powietrzu, i wkrótce biały miękki dywan osłonił całą ziemię.

Warwarka w ojcowskiej czapce z barankiem i w sukiennym kubraku wybrała się na zwykły rond swój do lasu. Była właśnie ostatnia zwózka drzewa przed świętami. Wasyl wydawał sęki, suche gałęzie, spróchniałe pniaki i drzewo sągowe. Transportowano je w wszelki możliwy sposób. A nie rzadko widzieć się dało kilkoro dzieci zaprzęgniętych samotrzeć do sanek, które zachęcały się wzajemnie i wesoło ciągnęły ciężar swój po wyślizganej drodze.

— Sława Jezu Chrystu! — zawołały widząc zbliżającą się Warwarkę.

— Wo wiki wikow Amen. — Ojciec jest tam? spytała.

— Oj! aż włosy sobie wyrywa — odparł rezolutnie najstarszy chłopiec — bo ktoś mu się dobrał do smerek „molodeńkich“.

— Gdzie?

— Nad czerwonym potokiem.

— A — rzekła z pewnym rodzajem ulgi — bo czerwony potok pośledni miejsce zajmował w leśnym regestrze.— Jedźcie zdrowi! — dodała i poszła dalej.

Mróz szczypał lekko w policzki, ułatwiając za to chód po śniegu. Drzewa szkliły się jakoby obsiane brylantami

i mieniły w tysiączne barwy w złocistem świetle słonecznem. Gdzieniegdzie lekki pył z nich opadał. W wąwozach cichuteńko szeleściły drobne kropelki wody pod strażą brył kamiennych, lub korzeni ziemią przesypanych. Cicho im było i zacisznie nie dały się więc w lód zamienić. W lesie przejrzystym i wesołym niby kryształowym pałacu, żaden głos się nie odezwał, żadna gałąź nie zachrzęściła, chyba gdy jastrząb w przelocie musnął sosny wierzchołek. — Wiewiórki spały w gniazdach mchowych spokojnie, ptaki szukały mieszkań ludzkich. — Nagle jakieś szczególne echo słyszeć się dało! Coś by dźwięk oddalony — czy też poryk niedźwiedzia? Może który z bożków leśnych zadął w róg wszechpotężny? a okiścią szronową okryte drzewa oddały tony te w wdzięcznej nucie?

Warwarka stanęła przysłuchując się ciekawie. Głos zalatywał z drożyny leśnej. Dzeń! Dzeń! Dzeń! Dzeń! Dzeń! Dzeń! można było odróżnić wyraźnie.

Ale tędy przecie nikt nie jeździ.

„Chyba jaki wieśniak po drzewo do lasu“. — A i to dziś wywóz jest w innej stronie.

— Dzeń! dzeń! dzeń! dzeń! dzeń! dzeń! zbliżało się coraz więcej i więcej, aż oczom zdumionej Warwarki ukazało się parę kasztanków w lśniacej uprzęży.

Jak błyskawica przemknęły koło niej — parskając i potrząsając głową radośnie — wszelako poznała dokładnie w sankach maleńkich powożącego pana Karola. Obok niego jak wisienka rozrumieniona siedziała panna Helusia, w puszystem futerku — w tyle zaś nauczyciel z Genuńciem.

Panna Helena wydała się jej piękniejszą od zorzy porannej bo tak, jak od tej, biły od niej blaski i światła jakoweś — niemniej dziwnego coś chwyciło ją za serce, — smutek — li to? żal? — czy tęsknota? — a za czem?

Szary zając wypadł z zarośli. Zastrzygł uszami i zniknął w parowie. Za nim z kitą zmiatającą śnieg biały, wysunął się lis ostrożnie. — Pragnął widocznie sprawić sobie ucztę smakowitą, i w tym celu tropił szaraka. Ale Basia udaremniła jego zamiary. Zręczna zagroziła mu drogę kosturem, a uniesiona myśliwskim zapałem, gnała go dobry kawał pomiędzy jodły, krzaki, jałowce — mało znanymi sobie wertepami — aż zmęczona usiadła na powalonej kładzie.

Zdjąwszy wełnianą rękawicę otarła dłonią pot z czoła i poprawiła czarne kędziory, wymykające się na oczy. — U stóp jej łączki okrawek, wązki strumień przerzynał, około którego widniały ślady nóg sarnich, schodzących się do zdroju. Nad nim stała biedna jakaś bezlistna drzewina — z rodzaju pestkowatych, okryta jeszcze gdzieniegdzie purpurowym owocem. Dwie małe pliszki brunatne wydziobywały zeń pomarańczowe ziareńka, zlatując z gałęzi na gałąź i poświstując cichutko. Czyniły to więcej dla zabawy niż pożywienia. Jeden z ptaszków strącał dzióbkiem owoc czerwony — wyłuskiwał jąderko, a pochewkę zrzucał na ziemię, nie zawsze zupełnie pustą. Wtedy drugi schwytywał ją w powietrzu, lub brał ze śniegu — fiut! fiut! fiut! powtarzając bezustannie. Niekiedy obaj ptaszki ulatywały w górę, chwytały się dzióbkami, i znowu wracały do pierwotnego zajęcia. (C. d. n.).

WYNIK KONKURSÓW.

Rozpisane przez nas konkursy na poezyę i utwór beletrystyczny nie zostały, jak dotąd, uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Otrzymaliśmy wprawdzie cztery wiersze i trzy nowele, ale żadna z tych prac nie zasłużyła na pochlebne wyróżnienie, a tem więcej na nagrodę.

Wobec takiego wyniku konkursów, **przedłużamy oba terminy do dnia 1 Października b. r.**

Spis prac otrzymanych:

I. Wiersze: *a)* „Zgon Kościuszki“. (Godło: „Saepe stilum vertas“).

b) „Słowa smutnej prawdy“. (Godło: „Facile sed turpe est opprimere innocentem“).

c) „Zima“. (Godło: „Bronisława“).

d) „Noc w Ekbatanie“. (Godło: „Pirhus“).

II. Nowele: *a)* „Anioł“. (Godło: „Życie“).

b) „Z męczeńskiego żywota“. (Godło: „Est ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie ewig neu“).

c) „Agnesia“. (Godło: „Łada“).

Redakcya.

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

Otrzymujemy następujące pismo:

Artyści malarze, pragnący się przyczynić do złożenia hołdu wiekopomnym dla literatury naszej zasługom Elizy Orzeszkowej, zechcą łaskawie na moje ręce, do kancelaryi Koła literacko-artystycznego, składać swoje prace, z których utworzone album, będzie ofiarowane znakomitej autorce, z powodu dwudziestopięcioletniego jubileuszu jej działalności.

Kraków 10 lipca 1891 r. *Juliusz Kossak.*

(Z prawdziwą radością witamy powyższe wezwanie czcigodnego prezesa „Koła“, — które w ten sposób pośrednio bierze inicyatywę w uczczeniu zasług znakomitej autorki, — nie wątpiąc wcale, że każdy z naszych artystów poczytywać sobie będzie za obywatelski obowiązek złożyć płody swego talentu dani w Orzeszkowej-jubilatce. (przyp. Red. „Myśli“).

P. Adam Mahrburg, znany uczony, wygłosi na zjeździe mowę: „O psychologii współczesnej i jej stanowisku w systemie wiedzy“. Mowa ta ukaże się w oddzielnej odbitce i będzie do nabycia w handlu księgarskim już podczas zjazdu.

PROGRAM ZJAZDU.

W Piątek d. 17 lipca o godz. 8 rano odprawi Jego Eminencya X. Kardynał Dunajewski nabożeństwo w katedrze na Wawelu. Pierwsze posiedzenie odbędzie się o godz. 10 w amfiteatrze gimnazyum św. Anny. Zagai Zjazd przewodniczący prof. Dr. Rostafiński; imieniem Krakowa powita zgromadzenie prezydent miasta Dr. Szlachtowski. Potem dokonany będzie wybór prezesów honorowych Zjazdu i nastąpi wykład prof. Dra Baranowskiego z Warszawy. O godz 4 posiedzenia sekcyjne. Wieczorem przyjęcie uczestników Zjazdu przez miasto Kraków w sali Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń.

W sobotę dnia 18 lipca o godz. 8 rano rozpocznie się zwiedzanie miasta, przyczem bardzo pomocnym będzie umyślnie przez Dra Rostafińskiego opracowany „Przewodnik“, obejmujący blisko 20 arkuszy druku z cennemi illustracyami; o godz. 4 również posiedzenia sekcyjne. O godz. 6 nastąpi zwiedzenie parku prof. Dra Jordana. O godz. wpół do 9 odbędzie się uczta, dana przez członków Zjazdu na cześć twórcy parku prof. Dra Jordana.

W niedzielę d. 19 lipca od 7—10 trwać będzie zwiedzanie miasta, a o godz. wpół do 1 nastąpi wyjazd na wycieczkę do Mnikowa, gdzie goście podjęci będą przez Tow. lekarskie krakowskie.

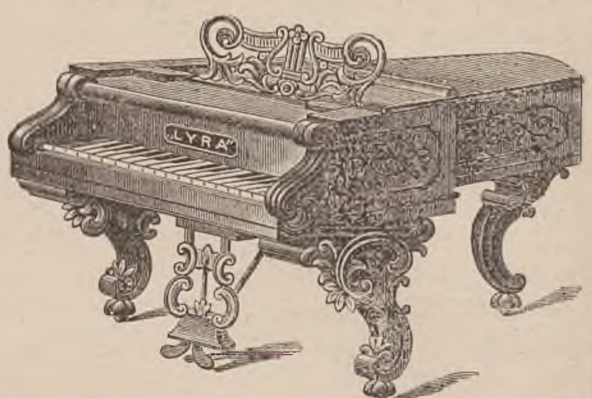
W poniedziałek d. 20 lipca od 7—9 zwiedzanie miasta, o g. 9 posiedzenia sekcyjne, a o godz. 10 drugie posiedzenie ogólne, na którem odbędzie się wykład Dra Marburga. O godz. 8 wieczorem przyjęcie przez komitet gospodarczy członków zjazdu.

We wtorek dnia 21 lipca wycieczka do Wieliczki, a część członków ma się udać do Pragi na wystawę, t. j. wziąć udział w pięknie zapowiadającej się wycieczce, na której ogłoszenie zwracamy uwagę naszych czytelników.

We środę dnia 22 lipca wycieczka osobnym pociągiem do zdrojowisk krajowych pod kierunkiem członka komitetu gospodarczego.

Posiedzenie ogólne odbywać się będą w amfiteatrze gimnazyum św. Anny; posiedzenia sekcyjne w Collegium Novum.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.



WYCIECZKA TOWARZYSKA DO PRAGI.

ODEZWA.

Jubileuszowa wystawa narodu czeskiego jest dziś przedmiotem rozmów, nietylko w monarchii całej, lecz także daleko po za jej granicami, Praga zaś sama cudownie nad Wełtawą położona, pełna świetnych, historycznych pamiątek, stolica niegdyś naszych Jagiellonów, stała się w roku bieżącym ulubionem miejscem licznych wycieczek.

Mając na względzie niezmierną korzyść, jaką nasze społeczeństwo może odnieść przez zetknięcie się z pracowitym, roztropnym i wytrwałym narodem czeskim, postanowiliśmy urządzić wielką, **ściśle towarzyską wycieczkę,** która z Krakowa wyruszy do Pragi bezzwłocznie po Zjeździe przyrodników. Zamiarem jest naszym: w dobrem i przyjemnem towarzystwie, przy współudziale jak największym słynnych z piękności i wdzięku Pań naszych, wyjechać do Pragi **pociągiem własnym,** a że przyjęcie tamże spotka nas nad wszelki wyraz serdeczne, o tem uroczyście ci nas zapewniają, którzy w Pradze już byli i wybitnym osobistościom nad Wełtawą przyjazd nasz zapowiedzieli.

Pragnąc, aby nasze towarzystwo liczyło setki pięknych dam i dystyngowanej młodzieży, odzywamy się do kół najszerszych, staraniem zaś będzie tych, którym powierzymy techniczną stronę wyprawy, byśmy trzy dni w Pradze, a dwa w podróży spędzili równie pożytecznie, jak przyjemnie.

A więc do Pragi!

Kraków dnia 30 czerwca.

Dr. Juljusz Bandrowski, Czesław Pieniążek, St. Woyneko - Tomkiewicz, Maurycy hr. Mycielski, Janusz Niedziałkowski, Piotr Stachiewicz, dr. Stefan Skrzyński, Andrzej br. Konopka, dr. Roman Ławrowski, Władysław Maleszewski, Bronisław Ślaski.

Pociąg towarzyski wyruszy z Krakowa do Pragi dnia 21 lipca rano. Wszyscy wyjadą koleją II klasą i tą samą klasą powrócą.

Koszta wycieczki wynoszą od osoby 55 zlr. Za te pieniądze uczestnicy będą mieli: Wolny przejazd II-gą klasą z pakunkami do Pragi i z powrotem. 2) Całe utrzymanie tak w drodze, jak w Pradze, w pierwszorzędnych hotelach i restauracyach. 3) Wstęp na wystawę, dorożki z kolei na wystawę, oraz do Hradczyna. 4) Pierwsze miejsca na przedstawieniu w Narodnim Divadle. 5) Wstęp na bal, który dla nas będzie dany, oraz udział w bankiecie, którym Czechów pożegnamy.

Ktokolwiek pragnie wziąć udział w wycieczce, powinien bezzwłocznie przysłać do **Biura Komitetu, Kraków ulica Grodzka l. 29 II. piętro,** najmniej 15 zł. zaliczki od jednej osoby, reszta zaś musi być wypłacona najpóźniej do 17 b. m.

Kto z Pragi zechce pojechać czy to do Wiednia, czy do Drezna, temu Komitet zwróci około 10 złr.

Panie nie potrzebują strojów balowych, *tylko wieczorkowe*, w Pradze bowiem będzie dla nas dany raut, przy udziale dam czeskich, po którym nastąpią tańce. Panowie chcący brać udział we wszystkich uroczystych przyjęciach, raczą nie zapominać o frakach lub strojach narodowych.

☞ Panowie lekarze i przyrodnicy, którzy wezmą udział w zjeździe krakowskim, a zechcą z nami się połączyć, raczą już teraz zamawiać bilety, ponieważ bardzo być może, że lista uczestników będzie rychło zamknięta, gdyż zastęp zgłaszających się jest wielki.

☞ Jeżeli będzie nadwyżka po opędzeniu wszelkich kosztów, takowa zostanie obrócona na ufundowanie stypendyów dla uczniów szkół przemysłowych.

Komitet.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**